

Pudziwiam w nich frontun spaniali rzyźbiony,
Herby na nim dumny i święty figury;
Widzym tagży wieży, chćóra dźwiga dzwony,
A swym krzyżym złotym sieńga aż pu chmury.

I tak sobi życzym, i tak mi si marzy,
Aby moja w życiu ustatna gudzina
Tu, na byrnadyńskim wybiła zygarzy,
Naj mi si tu spełni – w imi Ojca, Syna...

Na pewnu pieńć minut za wczesni wybiji –
Zawszy tak si śpieszył, kuźdyn wam to powi.
Ali tu ni szkodzi, ży krócyj pużyjim,
Jeśli tylku bedym móg kiwnuć wy Lwowi...

Amen, amen, amen...

KOŚCIÓŁ OO. DOMINIKANÓW

Święto Bożego Ciała corocznie kojarzy mi się niezmiennie i niezawodnie z tą właśnie wspaniałą lwowską świątynią: kościołem OO. Dominikanów w samym niemal sercu Lwowa. Dlaczego z tym właśnie, a nie z innym kościołem? To łatwe do zrozumienia dla każdego z lwowian pamiętających, że świątynia ta jest pod wezwaniem właśnie Bożego Ciała. Ilekroć więc tylko usłyszę lub w moich myślach pojawią się owe dwa słowa: „Boże Ciało”, tylekroć natychmiast w mojej tak bardzo po lwowsku wszystkim kojarzącej pamięci, obok obrazu któregoś z wielu gdzieś kiedyś oglądanych procesji Bożego Ciała, zjawia się także ów cudowny, przepiękny rokokowy kościół OO. Dominikanów we Lwowie.

Wcale, proszę mi wierzyć, nie przesadzam z moim zachwytem nad tym przewspaniałym dziełem lwowskiej architektury sakralnej, tak przedziwnie harmonijnie komponującym się swoją seledynową kopułą na owalnym, rokokowo rozrzużbionym tamburze z sąsiednią pyszną renesansową Korniaktowską kampanilą Cerkwi Wołoskiej. Jest to naprawdę jeden z cudów architektury, bynajmniej nie tylko w lwowskiej skali, co zaręczam słowem architekta.

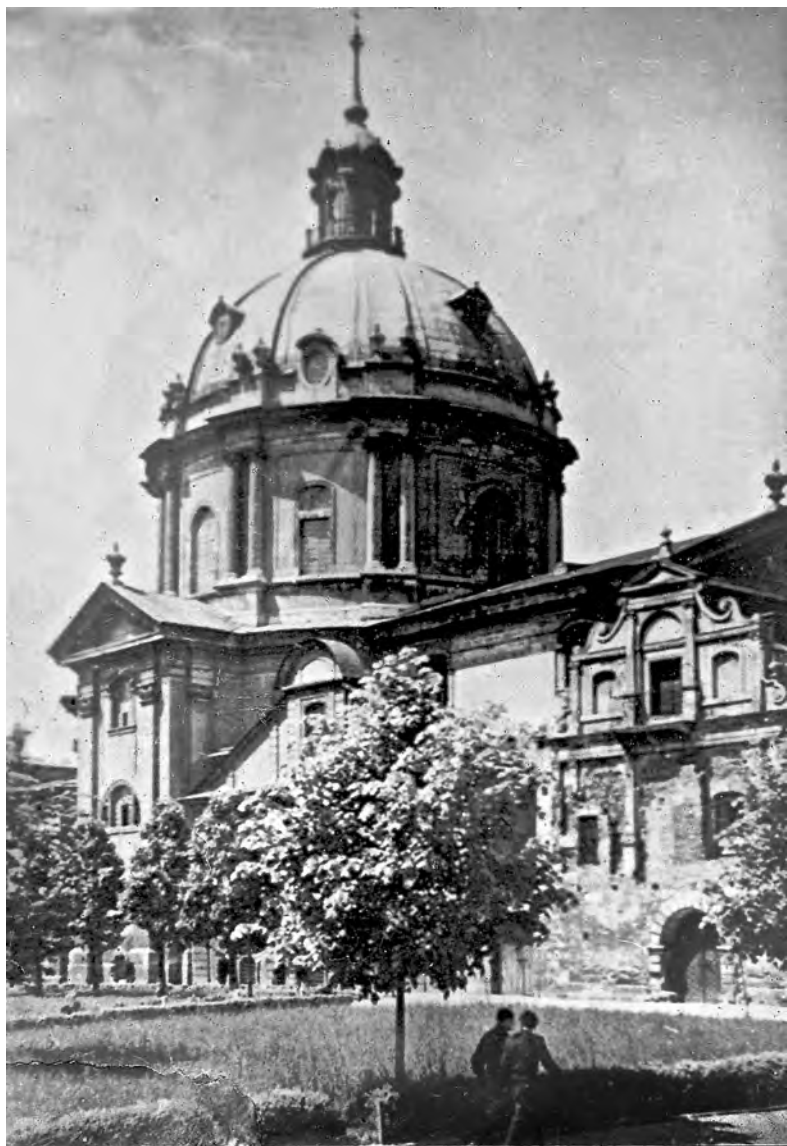
Wierzył w to także gorąco i przez dziesiątki lat w wieloraki sposób to wyrażał – w akademickich wykładach, książkach i artykułach – lwowski, a potem wrocławski architekt i historyk architektury, profesor Zbigniew Hornung. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że przez owe dziesiątki lat właśnie ta dominikańska świątynia była obok drugiego cudu lwowskiej architektury rokokowej, grekokatolickiej cerkwi katedralnej Świętego Jura, wielką, dozgonną miłością profesora.

Tym też stał się ów dominikański kościół pod wezwaniem Bożego Ciała również dla mnie. Objawiło mi się to zaś w moim młodym wtedy jeszcze życiu dość późno, gdyż dopiero w latach niemieckiej okupacji Lwowa, czyli między rokiem 1941 a 1944. Wtedy to do dominikańskiej świątyni przybywały w każde niedzielne południe setki lwowian, aby na mszy „dwunastówce” wysłuchać płomiennego, patriotycznego kazania złotoustego kaznodziei, ojca Anzelma Jezierskiego. Zadziwiające, że mimo iż każdym niemal zdaniem z ambony narażał się jeżeli nie na rychłą śmierć z rąk lwowskich gestapowców z ulicy Pełczyńskiej, to na pewno na śmierć nieco tylko późniejszą w Oświęcimiu, przez pełne trzy lata hitlerowskiej okupacji Lwowa włos mu z głowy nie spadł. Nikt, dosłownie nikt go wówczas u Niemców nie zadenuncjował,



Kosich P. D. Danilovskaya

Afghanistan
1987



Kościół OO. Dominikanów widziany z Wałów Gubernatorskich

mimo że w wypełniającym świątynię po brzegi tłumie nie-
rzadko zieleniały mundury niemieckich oficerów i żołnierzy...
Mówiono wówczas, że ci tego nie zrobią, bo to katolicy au-
striaccy lub bawarscy. Możliwe – lecz mimo to dziwne, a nas
wtedy odrobinę podnoszące na duchu.

Kiedy do naszej Małopolski Wschodniej w roku 1944 po-
wrócili sowieccy okupanci, a ja rozpocząłem z opóźnieniem
moje architektoniczne studia u polskich jeszcze wtedy profes-
sorów na Politechnice Lwowskiej, przez kilka miesięcy robiłem
tu właśnie, u ojców dominikanów, wraz z kilkoma kolegami
inventaryzację, czyli dokładne, architektoniczne pomiary ich
gotyckiego klasztoru i późniejszego rokokowego kościoła. Po-
znałem je wtedy, jak mawiano we Lwowie, „na durch” – od
podziemnych krypt aż po klasztorne strychy. Do dziś na przy-
kład pamiętam, jakim lodowatym strachem przejął mnie ko-
piec ludzkich czaszek w jednym z zakamarków kościelnego
podziemia. Braciszek zakonny objaśnił mi, że to czaszki ofiar
któregoś z licznych w XVII wieku tatarskich najazdów. Dłacze-
go zaś jedna z tych czaszek miała wbity w ciemię potężny bret-
nal i jakiś pokrętny łaciński napis na czole – tego prostoduszny
braciszek nie był w stanie wyjaśnić...

Nie zrobił tego również nawet sam ówczesny przeor lwow-
skich ojców dominikanów, który nieraz gościł nas, architek-
tów *in spe*^{*}, w swojej zakonnej celi, hojnie częstując zmacha-
nych „inventaryzatorów” wspaniałymi, ogromnymi jabłkami
z dominikańskiego jeszcze wtedy sadu.

A potem i ojcowie dominikanie, i my, studenci architek-
tury, wraz z naszymi profesorami zostaliśmy ze Lwowa eks-
patriowani. Przeszły lata, dziesiątki lat – i zupełnie niedawno

* *in spe* (łac.) – w przyszłości (spodziewanej), dosłownie: w nadziei.

znalazłem w jednej z warszawskich gazet nekrolog tamtego zaprzyjaźnionego z nami, ówczesnymi intruzami w jego klasztorze, przeora lwowskich dominikanów, który właśnie dokonał swego żywota u dominikanów warszawskich... Jakże żałowałem, że nie wiedziałem, iż przez całe lata żył jak ja, w Warszawie, i że mogłem go odwiedzić w klasztorze przy ulicy Freta...

A w lwowskich Dominikanach jest od wielu już lat tak charakterystyczne dla wrogów Kościoła muzeum dawniej ateizmu, obecnie eufemistycznie przezwane muzeum religii, co oczywiście niczego w jego istocie i celach nie zmieniło*. Kiedy tylko jestem we Lwowie, zawsze odwiedzam wspaniałą dominikańską świątynię, z którą wiążą mnie przeżycia sprzed lat. Na wieńczącym jej monumentalny wejściowy portal tympanonie nadal niezmiennie widnieje łaciński napis: SOLI DEO HONOR ET GLORIA, co się po polsku wyklada: Jedynemu Bogu cześć i chwała.

A we wnętrzu tego architektonicznego klejnotu lwowskiej architektury, białym i złotym, zdobnym w rokokowe posągi zakonników augustiańskiej reguły, w figury świętych, w alabastrowe nagrobki niegdysiejszych magnackich dobrodziejów kościoła, w marmurowe epitafium hrabiny Józefy Dunin-Borkowskiej, wykute przez samego Bertela Thorvaldsena, i w marmurowy epitafijny pomnik Artura Grottera** – zawsze wraz z żoną kłękamy do modlitwy przed krucyfiksem nad pustym, ogołoconym ołtarzem. Wśród zwiedzających

* Ten tom powstawał w latach 1992–1993. Teraz kościół przekazany grekokatolikom stał się cerkwią pod wezwaniem Najświętszej Eucharystii. Muzeum (jako Muzeum Historii Religii) nadal funkcjonuje w części zabudowań klasztornych.

** Zob. *Tamten Lwów*, tom 8 *Arcylwowanie*, rozdział *Kot i Dziecius* (Artur Grotter i Wanda Monné).

wtedy kościół (dla nich muzeum) ruskich zwolenników czy wyznawców (?) ateizmu wywołuje to jakby konsternację...

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

Ach, mój jedyny, kochany kościół Świętego Antoniego... Wiele już w tych gawędach wypowiedziałem podobnych w swym brzmieniu i sensie aktów strzelistych oraz wydałem sporo westchnień zachwytu nad różnymi lwowskimi świątyniami, gmachami, domami i innymi obiektami mojej wiernej i, serdecznej pamięci. Każdy bowiem z owych obiektów jest dla mnie zupełnie szczególny i jedyny w swoim rodzaju. Mam ciłą nadzieję, że w takich wypadkach zawsze byłem właściwie rozumiany, zarówno kiedyś przez radiowych słuchaczy moich wypowiedzi, jak i teraz przez czytelników tych oto zapisanych gawęd. Rozumiany nawet mimo ewentualnych pobłażliwych uśmiechów nad sentymentalną i romantyczną egzaltacją moich słów. Pragnę zapewnić, że to jednak mimo wszystko coś więcej niż taka egzaltacja...

Po tej dygresji powróćmy do kościoła Świętego Antoniego. O tej Łyczakowskiej świątyni nieraz już w *Tamtym Lwowie* wspominałem i zapewne nieraz jeszcze wspomnę. Po raz pierwszy zaś uczyniłem to wtedy, kiedy opisując w jednej z gawęd centrum Łyczakowa, a więc to miejsce, gdzie według zwyczajowej, tradycyjnej, niepisanej społecznej umowy kończy się Łyczaków dolny, a zaczyna się Łyczaków górny, nazwałem je gospodarstwem Świętego Antoniego*.

* Zob. *Tamten Lwów*, tom 2 *Ulice i place*, rozdział *Na placu Świętego Antoniego*, s. 177.